

---

---

ANDRZEJ NIEDZIELA

## OD NIEMIECKIEJ LOTNEJ DYWIZJI DO V DYWIZJI STRZELCÓW POLSKICH NA SYBERII

Andrzej Niedziela pochodził z rodziny chłopskiej w powiecie śremskim, w Wielkim Księstwie Poznańskim. Urodził się w 1883 roku, skończył szkołę wiejską, a potem pomagał w pracy na roli. W 1904 roku został powołany do zasadniczej służby wojskowej w 48-mym Pułku, a po roku został odkomenderowany do 2-go Pułku Dragoniego do wyćwiczenia jazdy konnej i przydzielony do Majora Twierdzy Küstrin [Kostrzyn nad Odrą]. Po zakończeniu służby wojskowej wrócił w rodzinne strony i pracował u leśniczego w Orleńcu w powiecie dolskim jako kuczer.

W 1907 roku poślubił Marię Markowską i wyjechał z żoną w poszukiwaniu pracy w głąb Niemiec do Dortmundu w Westfalii, a później do Wanne gdzie zatrudnił się jako górnik. Przystąpił do różnych organizacji polskich by pracować społecznie, a również kształcić się i wyrabiać w sprawach narodowych. W krótkim czasie został sekretarzem Towarzystwa Oświata, które zostało zmienione na Towarzystwo Wyborcze, jako polityczną instytucję. Tam znalazł pole do pracy i zdobycia doświadczenia politycznego, co miało ogromny wpływ gdyż został wybrany Prezesem Towarzystwa Wyborczego w Wanne. Kiedy wybuchła wojna światowa został zmobilizowany do wojska niemieckiego. Wszystkie sprawy Towarzystwa Wyborczego przekazał wiceprezesowi, panu Rogali i w ciągu 24 godzin musiał opuścić żonę z trójką małych dzieci by iść na nieprzewidziane długą, bo ponad sześćioletnią tułaczkę wojenną na różnych frontach.

Miejsce koncentracji było Gelsenkirchen w Westfalii, skąd przewieziono grupę 1500 wojaków tzn. starych żołnierzy, ochotników i rekrutów do Szczecina, do koszar II-go Pułku Grenadierów. Andrzej Niedziela został przydzielony do 11-tej kompanii 3-go Batalionu tzw. Fizylierów – byli to przeważnie Polacy w wieku 26-31 lat z Wanne, Bochum i Gelsenkirchen. Po miesiącu straszliwej musztry i gonitwy w koszarach przez pruskich oficerów i podoficerów, został wysłany na front francuski, co opisał takimi słowami: „Owe 1500 żołnierzy uzupełniło po części 3-Batalion II-go Pułku, a reszta batalion drugi. 3-Batalion po powrocie z Marny zatrzymał swą pozycję pod Soissons. Z owych aktywnych żołnierzy, którzy wyruszyli na wojnę w składzie 11-tej kompanii, czyli około trzystu ludzi, po wcieleniu mnie do niej pozostało sto dwadzieścia osób. Po uzupełnieniu 11-ta kompania liczyła dwustu pięćdziesięciu żołnierzy. Przerzucanie trwało ze trzy do czterech tygodni; ze Soissons do Combrai, tam parę dni i z Combrai do Wijtszelde. Tam nastąpił pierwszy bój. 4-go listopada 1914 roku w niespełna 24 godziny w bitwie pod Wijtszelde rozgromione zostały cztery pułki wojska niemieckiego na tak małym odcinku; to był pierwszy chrzest frontu francuskiego.” [...] „Wyparto nas ogniem artyleryjskim z zajmowanego miejsca na dawną pozycję, a przy tym straciliśmy czterdziestu ludzi, pozostało osiemdziesięciu żołnierzy bez podoficerów; kompania była niezdolna do walki.”

Andrzej Niedziela powrócił z wojny w styczniu 1921 roku. Sprowadził żonę z dziećmi i zamieszkali w Poznaniu. W odzyskanej ojczyźnie udzielał się społecznie

i politycznie. Pracował w Elektrowni Miejskiej, aż do emerytury. Swe przeżycia z walk na frontach wielkiej wojny opisał w grubym brulionie, który przez długie lata był ukrywany w rodzinie. Był dwukrotnie w niewoli i w obozach jenieckich w Rosji i na Syberii. Droga powrotna wiodła przez Syberię, Daleki Wschód, Mandżurię i statkami przez wody chińskie, Hong-Kong, Cejlon, Kanał Sueski do Marsylii, a stamtąd pociągiem do Polski.

Przedstawiony poniżej fragment jest drugą częścią pozostawionych wspomnień o swym tułaczym losie. Obejmuje zdarzenia poprzedzające, a zamieszczone wcześniej w numerze 50/2012 ZESŁANCA i zatytułowane „Od Klukwiennej do Harbina”.

*Elżbieta Gruchot*

\*\*\*

### **W lotnej dywizji do Dyneburga**

Od Soissons przeszliśmy miejscowości Lille, Cambrai, Warmington, Bawarlington, Wijtszelde i inne, których nazw nie pamiętam.

Rozgromiono II Pułk, na czele którego stał hrabia Zurancon wraz z Mucusem. 3-ci batalion został wycofany z boju jako osłabiony i niezdolny.

Zgromadzono wojska w Lille około 25-go listopada 1914 roku; tu rozkazano zakwaterowanie na jakiejś ulicy przy kościele, w którym Krzyżacy wyprawiali orgie, rozrzucając szaty i przybory kościelne, ubierali się w nie i szydzili jak na urągowisko katolikom, grabiąc wszystko co pod rękę podpadło i zabierając dla siebie. Przez dwa dni uzupełniono kompanię do stu pięćdziesięciu żołnierzy.

Dnia 28-go listopada 1914 roku odjeżdżaliśmy pociągiem z Lille, jako rezerwowa Dywizja na teren wschodni przez Luksemburg, Metz, Wrocław, Grabów i Podgrabów po granice Królestwa Polskiego.

\*\*\*

Po wyładowaniu na pograniczu, oddychaliśmy dwa dni w Podgrabowie, a stąd marszem na Pabianice. Natknęliśmy się w lasach na silny oddział Kozaków, których wypychaliśmy stale i tak natrafiliśmy jakieś huby rozciągle, w których widocznie było dużo kolonistów niemieckich – można było widzieć zdradę owych obywateli Vaterlandu (ojczyzny) na strażach wschodu. Wszystkiego dowiedział się sztab, gdzie są silne wojska, gdzie artyleria itd., a w dodatku litość jeszcze, pełno łez, że taka krzywda im się dzieje, że ich Kozacy przeganiali nahajkami itd., że nawet Krzyżacy rozplakali się na wywody swych landsmanów (krajan). Idąc dalej natknęliśmy się na wojska okopowe; zapędzeni w ciągłym gonieniu Kozaków, zapomnieli wodzowie o okopach silnie obsadzonych, jak te pod Pabianicami.

4-go grudnia 1914, dostaliśmy od nich w skórę, jak we Francji 4-go listopada, lecz tutaj o całe niebo spokojniej, bo był spokój w duszy, że jeżeli legniesz to na Polskiej Ziemi. Ponieważ był to początek zimy, to ziemia była zmarznięta, nie można było zakopać się i obrzucano nas gradem kul karabinowych i maszynowych, o wzięciu szturmem okopów nie było mowy, więc trzeba było przeleżeć przez cały dzień w bruździe ornej ziemi, a kto tylko głową ruszył, to już do niego mnóstwo kul leciało. Kozacy także i szrapnelami obsiewali gęsto nasz teren. To tu straciliśmy piętnastu zabitych i wielu rannych z Mucusem. Teraz ucieszyliśmy się, że Mucius, dowódca 3-go batalionu, już nigdy do nas nie wróci.

Kompanię objął Lejtnant von Osten; choć młody oficer, zaledwie dwadzieścia dwa lata, ale rozsądny był i dobry, to też radość zapanowała w kompanii, że Muciusa diabli wzięli. Po całodziennym leżeniu stężałe członki i ciało

rozgrzano wieczorem gorącą kawą i gulaszem, bo p. Łączny Franciszek umiał dość dobrze doprawić.

Po rozgromieniu Niemców 4-go listopada 1914 r. pod Wijtszelde, pozostało w 11-tej kompanii ośmiu żołnierzy aktywnych, którzy wracali znad Marny, a z pierwszego zasilenia pod Soissons, czterech nas Polaków: J. Nowak, Oleszak, Łączny i ja. Najbliższym mi przyjacielem był kolega Nowak, zawsześ my razem szli i byli w jednej grupie, lecz charakterem do mnie podobnego nie miałem obok siebie nikogo, wszyscy patrzeli na żelazny krzyż, ja zaś abym miał mój zdrowy i unikał zamordowania choćby jednego człowieka, którego nie znałem, a i nie widziałem w życiu; byłem lojalny we wszystkich rozkazach i wszystko wykonywałem, co mi rozkazywano, ale postanowiłem nikogo nie zastrzelić i nikomu życia nie odebrać, choćby może w oddali przez zbłąkaną kulę z mego karabinu; wiele kul wystrzeliłem z mego karabinu opowiem przy końcu mego opisu.

Dnia 5-go grudnia 1914 r. z rana już w okopach przed nami nie było żadnego żołnierza rosyjskiego i teraz szliśmy jak na polowanie na grubego zwierza. Taktyka żołnierzy rosyjskich była taka, że jeżeli się ich nie atakowało, to okazywali ogromną siłę, a z okopów strzelali jakby żołnierz stał przy żołnierzu, lecz kiedy zbędne były im pozycje, to nocą je opuszczali.

Od 5.12.1914 r. szliśmy, a kierunek: Zduńska Wola i wszystkie „Wole” jak się tam nazywały, aż doszliśmy do miasteczka Warta i jeszcze za nim kilka kilometrów, następnie z powrotem do miejscowości Błazki, zaś małe potyczki, które staczaliśmy nie sprawiły nam już żadnych strat. Załadowani w Błazkach do pociągu, jechaliśmy w stronę Kalisza, przez zburzony Kalisz na Ostrów Wielkopolski. Tam w Ostrowie Wlkp. w Czerwonym Krzyżu zetknęliśmy się z dobrą grochówką tak, że odczuło się, że jesteśmy gdzieś blisko rodzinnych stron, a i nasze matrony na dworcach jakoś umiały podnieść na duchu. Ze smutkiem odjeżdżaliśmy z Ostrowa Wlkp. licznie żegnani, bo wielu było z tych okolic.

Jako lotna dywizja nie mieliśmy żadnego odcinka, lecz tam gdzie zachodziła pilna potrzeba, byliśmy wcielani. Jechaliśmy, kierunek Września, a w duszy sobie nuciłem: „Kto zna Miłosława brzegi, gdzieś na stacji pod Mławą, pozostał nasz kary koń, ...”. Myśmy szli w kierunku na Skierniewice do boju.

Po kilkudniowym marszu z potyczkami, nie mogąc nic wskórać z silną rosyjską armią, zatrzymano okopy i ostatecznie je umocniono, my zaś po odprawie poza front otrzymaliśmy uzupełnienie, bo i straty były dość duże. Nasze stałe przechodzenie granicy pruskiej i Królestwa Polskiego, robiło na nas piorunujące wrażenie, tam ni sosny, ni drogi porządnej, ni żadnego murowanego domu, tu o kilkanaście kilometrów zupełnie inny kraj i te „chachary” spod Berlina za każdym razem nazywały „Panieslandem”. Wiele cierpkich uwag musiało się przemilczeć, bo tak nakazywała wola uczciwego obywatela Polaka. Żydów chałaciarzy miano za „Szpekije Polaken” albo „Panieś”.

Z ostatniego uzupełnienia dostaliśmy bardzo dużo inteligencji szczecińskiej, a osobliwie młodzieży, której nasz pułkownik hrabia Zuranzon, znany i szanowany w Szczecinie, był jakby ojcem swych dzieci. Między tą młodzieżą ochotniczą był jeden stary żołnierz o nazwisku Lindeman, był to stary lis i znawca stosunków polskich i niemieckich, to też wiele razy dużo cierpkich słów od niego musieli znosić Niemiaszki o swym Kulturtregerze, Bismarcku i innych „Hakatach”. Jeżeli ktoś wyrządziłby krzywdę innej osobie, to on ją

wynagradzał i przepraszał, uczciwe Niemczysko, ale był zachłanny, bo chciał po Psków i Kijów zabrać nasze ziemie dla Princa i Wilhelma.

Jeszcze kilka dni obchodziliśmy front, aż tu naraz komenda: „ku kolei”, pospiesznie załadowano nas na kierunek Johannisburg [Pisz], wyładowanie nastąpiło kilka kilometrów od Pillkallen [Dobrowolsk], wioska Gross Wersmeninken; to do niej doszli Moskale i tam ich pochód został wstrzymany przez kilka tygodni; pozostawili tylko patrole i budowę okopów prowizorycznych. Tamtędy prowadził trakt na Pillkallen, to też „odwiedzali” nas często Kozacy i stale niepokoiili.

I tak razu pewnego musiałem iść na patrolkę wraz z dwunastu żołnierzami i pod wieczór, nie trzeba było długo czekać na Kozaków, bo zjawił się ich dość duży zastęp. Jechali sobie szosą nic nie przeczuwając, aż tu nagle z boku w lesie, kiedy już nas mijali, padła salwa z karabinów, konie stanęły dęba, zawróciły w miejscu i pogalopowały z powrotem, ale jeden Kozak spadł z konia i wzięliśmy go do niewoli choć jeden Bauman chciał go zastrzelić. Był to ładny młodzieniec, żal mi go było i tak zabiegałem, aby mu życie darować, że ostatecznie Bauman zgodził się dać mi spokój za kilkakrotne uderzenie. Wziąłem jeńca przed siebie i naprzód iść kazałem – doprowadziłem szczęśliwie do sztabu Muciusa i tam oddałem wiedząc, że już nic się jemu nie stanie, bo ordynansem był Polak, zuch Gościniak, którego prosiłem aby mu krzywdy nie zrobiono. Po przesłuchaniu przez sztab został odesłany na tyły armii. Wdzięczność okazał, kiedy odchodził: uklonił się nisko, a z oczu widać było jego podziękowanie; tak już wtenczas sobie pomyślałem, że jeżeli cię taki los spotka, byś i ty zasnął takiej opieki, co też później się stało.

Wiele czasu minęło, nie pamiętam, lecz zdaje się około sześciu tygodni. Wyruszyliśmy dalej do boju na Johannisburg; tam też pozostawili Moskale nowe armaty na rynku w Johannisburgu, a o ilości zabitych i do niewoli wziętych, świadczyły całe masy poległych i prowadzonych jeńców; nastąpił forsowny marsz przez cztery dni i nocę w pogoni tak, że ani mrozy nocy, ani śniegi nie wpływały na organizm, a takie było przemęczenie, że kiedy stanęło się na dwie minuty, to wszyscy się pokładali i już każdy zasypiał; strat nie mieliśmy, lecz z powodu forsownych marszów i znużenia, wielu pozostało w tyle, poza dywizją.

Po wypędzeniu Moskali z Prus – odpoczynek dwa dni, a następnie kierunek – Ostrołęka. Oblężenie tej twierdzy było trudne przez moczary ogromne i lasy, wymagało dość długiego czasu; zabiegano ze wszystkich stron, lecz nic nie można było zrobić, okopy rozległe od Turośli i z prawej strony dobrze obsadzone i ubezpieczone zasiekami. U Niemców postrach jaki panował przed Rosjanami, był ogromny, lecz straty wyrządzone nie były takie olbrzymie w porównaniu do zniszczenia terenów przez Niemców. [...] Jeżeli natrafiato się na pułki syberyjskie, to nie łatwo było dać im radę, zaś kawaleria sprytna swymi podjazdami, wycinała całe kompanie niemieckie.

Po powrocie na odcinki Ostrołęka (?), po kilkudniowych potyczkach, stanęliśmy do boju na Osowiec. A tu liczne bagna, które były przeszkodą trudną do przejścia, bo Rosjanie wybierali dogodny teren, były istnym szaleństwem i wariactwem dla Niemców. Jak bardzo Niemcy starali się, aby przejść przez bagna, niech świadczy fakt, jakich sposobów próbowano. Kazano żołnierzom zrobić z desek długie ski, na których mieli przejść przez bagna na drugi brzeg.

Próbowano. Kiedy szeregi doszły już do połowy, gdzie bagno było już nie do przebycia, z rosyjskich okopów rozległy się głosy: „czyście Germany zwariowali?” I nagle rozpoczęli ogień maszynowy, ni gdzie się schronić, ani przejść. Rozpoczął się istny harmider i szamotanie się w tym błocie, jedni ruszyli z powrotem, cofnęli się, inni polegli, a pozostali utonęli w bagnie. Taki był koniec zamiaru pokonania bagien, że stracili całe masy ludzi, których wprost wpędzono w objęcia śmierci. Próbowano przez obejście, też nie dawało to rezultatu. Trzeba było cofnąć się i szukać miejsca gdzie dałoby się zaryć w ziemi. Z tym zamiarem zajęto teren za wioską Turośl, lecz i tam nie była pozycja dogodna, bo lasy były pełne Rosjan, a moczary nie dawały się pokonać. Uradzili, że koniecznie musimy wycisnąć Rosjan z pierwszych okopów i w nich się utwardzić. Ze 2 km od Turośli były pierwsze okopy rosyjskie, nuże to za wszelką cenę trzeba je zdobyć.

Było to koło połowy marca 1915 roku. Miałem złe przeczucie. Dostaliśmy uzupełnienie kompanii. W 11-tej kompanii, która posiadała 160 ludzi, był też jeden Polak z Zachodnich Prus, nazwisko Kozłowski. Był to spokojny i poważny mężczyzna, to też polubiłem go jak kolegę Nowaka; zawołałem ich na ustronie i przestrzegłem przed wariactwem, które miało być podjęte; umówiliśmy się, w jaki sposób by się uchronić; był to lasek, gęstwina, to też było łatwo, a w dodatku godzina dziesiąta wieczór do ataku. Doszliśmy na 50-60 kroków od okopów rosyjskich, teraz rozpoczął się grzechot karabinów maszynowych i dział; ci którzy doszli blisko, zawiśli w zasiekach, a reszta rozbitych legła na równinie, ziemia zmarznięta nie pozwoliła się zakopać, to też i wielkie straty powstały gdzie legł kolega Nowak i wielu innych, a w tym lejtnant von Osten. Ja z Kozłowskim pozostałem w tyle o 100 kroków i przespałem noc w dole, w którym był już umarły, a tylko nogi sterczały z ziemi; nie wiedząc o tym, nałamałem gałązek i położyłem się, dopiero rano łapię za buty, które sterczały z pod ziemi i dreszcz przeszedł przeze mnie, pomodliłem się i cofnąłem z Kozłowskim do Turośli. Tam na strychu domu przespaliśmy do godziny jedenastej rano. Reszta rozproszona na pobojowisku. Teraz zebrałiśmy się, aby szukać resztek rozbitków. Piorunujące wrażenie zrobiła na mnie śmierć kolegi Nowaka, gdyż jeszcze żył, wołał o pomoc i poruszał się, lecz dostęp do niego był niemożliwy. Chcąc mu dopomóc robiłem podkop aby ratować, lecz długo to trwało, a strzał był w głowę tak, że po godzinie, może dwóch przestał dawać znaki życia. Pod wieczór próbowaliśmy dojść i pościągać zabitych, lecz reflektory oświetlały teren, a na wszelkie stuknięcia grały maszynówki. Rosjanie jeszcze silniej ostrzeliwali gdy zorientowali się, że pomiędzy okopami są zabici i musieliśmy zaniechać prób dojścia; pozabijani leżeli tydzień przed okopami, było ich wielu, między nimi Nowak. Doszliśmy do nich po czterech dniach. Wszystkich żołnierzy pochowaliśmy razem na cmentarzu obok kościoła w Turośli.

Martwy oficer von Osten, blisko okopów rosyjskich leżał cały tydzień. Za ściągnięcie jego ciała obiecali nagrodę w postaci miesiąca urlopu. Dlatego szukano sposobu, aby go wydostać; zrobiono dość daleki podkop, następnie zbito kilka żerdzi z hakiem i takim sposobem przyciągnięto zwłoki do naszych okopów. Rosjanie wszystko zdarli z niego, zabrali wszystkie papiery i pozostawili; tak to Bauman jechał w nagrodę na urlop wioząc ciało jedyńaka do Szczecina.

Dodać muszę, że w przeddzień boju śniłem, że obraz Matki Boskiej Pocieszenia, który miałem w domu, ukazał mi się nad okopami rosyjskimi

i jakby niesiony szedł w tył za nasze okopy i tam znikł. To mnie jeszcze więcej utwierdziło w przekonaniu, abym wycofał się z boju.

Przychodził okres Wielkiej Nocy. Odcinek był dość spokojny, lecz jak zawsze byliśmy w pogotowiu. W poście można też było iść do kościoła w Turośli, tam też ostatni raz byłem u spowiedzi i komunii świętej. Dopiero w pierwsze święto Wielkiej Nocy, rano około godziny jedenastej, pokazały się białe chorągiewki z okopów rosyjskich. Czekamy ze zdumieniem co będzie, a tu Polacy z okopów rosyjskich przychodzą i mówią, że jest Wielkanoc i chcą iść do kościoła. Oczywiście przepuszczono ich, około dwudziestu żołnierzy, a skończyło się tym, że chorągiewki znikły i nastąpiło ostre pogotowie, żołnierzy zaś wzięto jako jeńców i kościoła nie widzieli.

Tak to przeszedł długi czas, przesuвано nas na lewo i na lewo, aż ostatnio na dwa tygodnie przed upadkiem Libawy załadowano w Kolnie do pociągów i przetransportowano aż do Tylży, a stamtąd na Libawę, lecz będąc jeszcze w podróży skierowano nas na Bańsk, i w pogoni za Rosjanami szliśmy aż do samego Bańska. Był tam śliczny dwór lecz opustoszały, bo wszyscy uciekli; zapędzeni w pochodzie szliśmy kilka tygodni nie natrafiając na żadne przeszkody; kawaleria tylko miała utarczki lecz bez wielkiego oporu i tak szliśmy forsownym marszem cztery dni, aż doszliśmy do Kurszan i za Szawle.

Minęliśmy Szawle i wzięto kierunek na Rygę, idziemy jeszcze kilka dni, aż tu doszliśmy za daleko, coś około 80 km w bok od Rygi i jak szybko doszliśmy tak prędko trzeba było cofać się przez kilka dni, aż za Kurszany z powrotem. Następnie rozmieszczono się pod Kurszanami – przez kilka dni było niepewnie; przy odwróceniu bardzo wielu nie wróciło, pozostali, nie mogli podołać w marszu, bo też było mówione, że kto przyjdzie, to przyjdzie, a kto zostanie, to zostanie.

Okopów z zasiekami pod Kurszanami nie było i nie można było nic umocnić, bo Armia Rosyjska siedziała nam teraz na piętach. Po kilku dniach zaatakowani i wyparci musieliśmy się cofnąć o jeszcze dwa dni forsownego marszu. Muszę zaznaczyć, że na skutek padnięcia Libawy, skierowano nas na inny teren operacyjny. Po dwóch dniach tego forsownego marszu my byliśmy zmęczeni, ale także Rosjanie i choć doszli nas, to zmęczeni marszem zasnęli w okopach, natomiast Mucius, który był dowódcą batalionu, o godzinie 2-giej rano dał rozkaz do ataku, ponieważ z wywiadu dowiedział się, że o godzinie 4-tej rano my zostaniemy zaatakowani. Korzystając z zaskoczenia rozbijaliśmy żołnierzy rosyjskich w koszulach - tak się udał manewr Muciusowi. Wiele zdobyto, a prawie nic nie stracono. Potem szliśmy aż do Kurszan na stare okopy.

Bardzo wielu musiało tam mieszkać Polaków i katolików, świadczyły o tym przydrożne figury, krzyże i kościoły. Wysoki kościół w Kurszanach z bardzo wysoką wieżą, był widoczną wieżą obserwacyjną terenu dla Niemców, bo zestrzeliła tę wieżę artyleria rosyjska i zniszczyła doszczętnie Przybytek Pański; wtedy pierwszy raz obserwowałem palącą się wysoką wieżę i zdawało mi się, że szum ptaków w powietrzu się roznosi, od powiewu wiatru; po przepaleniu się głównego wiązania wieża runęła grzebiąc krzyż głęboko w ziemi.

Po kilkudniowym odpoczynku, ruszyliśmy naprzód – kierunek Szawle. Tam, to kosztowało dużo roboty, aby je zdobyć i wiele strat w żołnierzach ponieśliśmy. Dostaliśmy też nowe zasilenie, a były to miesiące letnie – już żniwa blisko. Szawle było dobrze obwarowane przez Rosjan, niełatwe do zdobycia, to

też w pierwszym ataku zostaliśmy odparci i ponieśliśmy duże straty. Jednak po lepszym przygotowaniu, następnym atakiem wojsko zdobyło Szawle, lecz ja straciłem kolegów; nie miałem już nikogo obok siebie, sam operowałem i chroniłem się przed bojami, to też pod Szawłami zostałem w zbożu do nocy, a bój toczył się od rana do nocy; pod wieczór znów nastąpił atak, lecz musiano się jeszcze wstrzymać i dopiero następnego dnia po zbombardowaniu rosyjskich okopów, wojska rosyjskie opuściły je, a my wkroczyliśmy do Szawle zabierając małe resztki żołnierzy, które Rosjanie zwyczajni byli zostawiać na pastwę losu. Niemcy wzięli się do rabunku wielkiej garbarni skór, wrywano kotły, instalacje i wszystko co miało wartość, aby pociągami wysyłać do Niemiec.

Przed bojem pod Szawłami, odbyło się polowe Nabożeństwo. Po mszy świętej – kazanie do zebranego wojska, aby mu dodać otuchy. Oczywiście w większości byli tam żołnierze katolicy, ale byli też „lutrzy” tzn. protestanci, a każdy znękany tą straszną rozterką, wielu miesiącami wojny. Rozpoczyna się kazanie i oto ksiądz, katolik, Niemiec, przemawia do żołnierzy dodając im ducha: że oto tyle przeszli, że nadal mają być waleczni, bo to dla wielkości i sławy Niemiec temu pokoleniu tak wypadło cierpieć i umierać daleko od swych granic i w cudzej ziemi, bo gdyby we własnej ojczyźnie to dawno by nas wrogowie zgnetli i odzywa się oto w te słowa: „ein Deutscher Gott fur Deutschen Volk”. Skoro Niemcy miały i mają Boga niemieckiego, to mają specjalnego Boga i tak mówił dalej, że w całej dywizji rozległo się oburzenie. Struchlałem na takie wyrażenie księdza katolickiego, Niemca i bardzo wielu podoficerów obraziło się i odchodziło z takiego nabożeństwa. Dopytywałem o nazwisko księdza lecz nie mogłem się dowiedzieć.

Nastąpił znowu pochód naprzód. Dowóz był kiepski, bo koleje zniszczone. Wokół zboża przez Rosjan zwalcowane, a wioski po części spalone, zaś na prawo ogromne boje toczyła niemiłkająca artyleria. Zdawało mi się, że byliśmy lewym skrzydłem okrążającym Armię Rosyjską. Pochód trwał nadal i już się zdawało, że byliśmy blisko jakiejś fortecy – był to Dyneburg (Dźwińsk). Zatrzymano pochód, walki coraz bardziej natarczywe, głód coraz większy, a dowóz żywności coraz bardziej ustawał. Nawet straciliśmy hrabiego Zurancoe, a Mucius sam się zniechęcił, mówił: „der Krieg ist eine szejse er nimt über ...” Niemcom zaczęły „spadać nosy”, pozostało tylko czterech od początku tej wojny, reszta spała snem sprawiedliwego, sprzykrzyło się już wojowanie i nastąpił okres apatii. Zabierano osobom cywilnym wszystko co mogło się przydać, robiono co było można, aby się jeszcze trzymać gdyż nastawał już czas chłódów, a tu naprzód ani rusz. Na naszej drodze Dyneburg, z sąsiednich pułków wojsko zaczęło uciekać; z XVIII-tego Pułku poutykali karabiny w ziemię i całe masy żołnierzy przeszły do niewoli. Pod Dźwińskiem pozostawione karteczki świadczyły, że: „jeżeli nam nie chcecie dać jeść, to walczcie sami” – oto były objawy waleczności Niemców.

Jeszcze przez kilka następnych miesięcy musiałem przechodzić takie męki. 5-go listopada 1915 roku ponownie walka zawrzała i znowu poczęstowano nas obficie granatami i szrapnelami. Zamiast jakiejś wioski same rozbite domy i sterczące tylko fundamenty. Po spożyciu czarnego chleba wiejskiego, kiedy to muzyka artylerii zagrała, obserwując uderzenia granatów, usiadłem sobie w okopowym „szezlongu”, aż tu jakby wiadro spadło i wybuchając zasypało okop na długości 15 m; pomyślałem sobie: cóż ja ci winien, że i mnie nie dasz

spokoju. Leci jedno po drugim, ale to nic, byle nie w mój szezlong, tak sobie obserwuję te wybuchy wyrzucane na 40-ci metrów w górę. Tak ci to trwa od godziny drugiej po południu i pomyślałem, że z tak dobrego miejsca już mnie nic nie spędzi. Chłopcy latali jak szaleni w okopie, ja zaś spokojny nie dawałem wyprowadzić się z równowagi i oto w jednej chwili takie wiadro spadło o trzydzieści kroków ode mnie na fundament budynku, wyrwało lej, a cegły rozrzucone w powietrzu pofrunęły. I tak się dalej przyglądam, aż tu trzy ćwierć cegły dostałbym na pewno. Gdybym się o krok nie cofnął, gdybym nie czuł, byłbym pochowany pod Dźwińskiem, zabity cegłą nie kulą. Tak to wypędziła mnie z mego szezlongu nie kula, a cegła; straszne to w biały dzień być w takim niebezpieczeństwie.

Zacięte walki, które toczyły się o Dźwińsk kończyły się klęską i wielkimi ofiarami, jedni uciekali do niewoli, inni po kontratakach. Forteca się trzymała. Przesunięto nas na lewe skrzydło dla okrążenia, lecz i to było niemożliwe. Bardzo daleka przestrzeń bagnista, nie do przebycia dla artylerii, uniemożliwiła operację. Z tego powodu ograniczono się do podjazdów i niepokojenia się wzajemnego; raz Niemcy wybierali się do podjazdu, to znów zostali cofnięci, bo nachodziły kozackie podchody i taka rozległa przestrzeń niepokoiła jednych i drugich. Silnie wysunięte posterunki często zabierane były przez Kozaków do niewoli. Wiedziano o tym lecz nie było można temu poradzić, gdyż teren wyży zajmowały małe osady dalekie jedna od drugiej i każdy wysunięty posterunek padał ofiarą. Zniechęcone wojska głodem i chłodem, stały się niedbałe, dlatego nikt sobie nie robił z tego powodu wyrzutu. A niejeden z tym łążęgowaniem i z tym robactwem, które każdego męczyło, chciałby skończyć.

Dostaliśmy nowe ubranie i na zimę zaopatrzone nas w ciepłą bieliznę. Ubrałem się, no toż prawie już pod koniec dla mnie wojna nadchodziła, bo miałem za sobą trzydzieści trzy potyczki i cztery walne bitwy - tak brzmiał rozkaz wydany w Dywizji w listopadzie 1915 roku. Gdzie toczyły się walne bitwy, nie wiem, gdyż zdać z tego sprawę jest trudno, bo do walki szło się nie wiedząc co to za walka, czy walna czy potyczka, lecz jak ja zdaję sobie sprawę z walnych bitew to mogły być we Francji Wijtszelde, na terenie wschodnim węzeł kolejowy Skierniewice, wypędzenie Rennenkampfa z Prus Wschodnich i Szawle. Jednakowoż niektóre potyczki były stokroć gorsze od walnych bitew, jak je nazywano, a było ich wiele bo aż trzydzieści trzy.

\*\*\*

Po należywym ubraniu i zaopatrzone w ciepłą bieliznę, 4-tego listopada 1915 roku dostaję się na forpocztę, czyli przednią straż. Były to dni dżdżyste i mokre. Staliśmy w lesie, wysunięci około dwa i pół kilometra, całą dobę bez ciepłej strawy. Następnego dnia rano, przyniesiono nieco ciepłej kawy z kuchni, której kucharzem był kolega Franciszek Łączny, a zaś Oleszak, był ordynansem u jednego z oficerów. Było nas tylko trzech Polaków w 11-tej kompanii, reszta to Niemcy, albo zniemczeni Polacy spod Szczecina, to też na owej straży sam jeden byłem Polakiem. Noc przeszła spokojnie, zaś dniem nic nie zauważono, aż około godziny 12-tej w południe, a jest zimno i pada deszcz, my zmarznięci chcieliśmy się zagrzać. Zrobiono maleńki płomyczek i grzano kawę z manierek i tak skuleni w prowizorycznym okopie, każdy trzyma swój garnuszek „nektaru” w dłoniach i rozmawiamy, zaś na czatach, stało dwóch wysuniętych o około



50 kroków naprzód; z prawej strony murawa, mały strumyk z przodu i z lewej strony las. Nagle, obeznani z terenem Kozacy okrążyli nas zagrażając drogę odwrotu; Niemcy wysunięci na czatach biegną z powrotem i wołają, że napad Kozaków; przeskakują nasz okop, a Niemcy z okopu też uciekają; ja trzymając karabin, spojrzałem, a tu około dwudziestu Kozaków stoi przy mnie, zaś z boku strzelają do uciekających. Co tu robić? Utykam karabin bagnetem w ziemię i wychodzę z okopu do góry, a tu Kozak z żółtymi lampasami, z szablą w ręku wymierzona ku mnie jakby miał ciąć, lecz ja spokojny i zrównoważony patrzę w niego koniecznie, a wyglądem miałem staruszka z długą brodą, gdyż nie goliłem jej już długi czas. Naraz z boku przychodzi inny żołnierz i pyta: „Ty kto? – Polak”, odpowiadam. „A masz co do zabrania, to bierz i hola.”

Skoczyłem po mój tornister, założyłem na plecy i jazda, zaś mój oswojony dziciel mnie nie opuszcza aż do samego sztabu. Był to Polak z Wilanowa służący w kawalerii rosyjskiej. Uszliśmy już z 1000 kroków i teraz dopiero zatrzymujemy się, tu schodzą się wszyscy, a było ich około stu. Twierdzili, że podchodzili dotąd dwa dni, że resztę niemieckich żołnierzy wystrzelali. Karabiny ich i tornistry mieli ze sobą, świadczyło to, że jest prawdą. Jednakowoż jak później dowiedziałem się z listu od rodziny, jeden czy dwóch przedostało się z powrotem i mnie oskarżono o ucieczkę, a mojej rodzinie robiono trudności w otrzymywaniu należnego zasiłku.

Tak to sobie pomyślałem: jak cię to Bóg uratował - tak samo jak ja obroniłem Kozaka, tak mnie obronił Polak z Wilanowa. Muszę jeszcze zaznaczyć, że bardzo mnie bolało serce, kiedy widziałem nieraz znęcanie się nad bezbronną ludnością Królestwa Polskiego, którego dopuszczali się Niemcy. Stawałem zawsze w obronie uciśnionych i pokrzywdzonych, lecz nieraz odbierałem policzki, za moją obronę swego narodu. Wojna dla mnie nie istniała. Karabin nosiłem lecz go nie używałem i wystrzeliłem pod pozorem obserwacji otoczenia przez całą wojnę, to jest piętnastu miesięcy, czyli do dnia 5-go listopada 1915 roku, siedem kul z mego karabinu, zaś wiele amunicji i przyborów wojennych zniszczyłem w wodzie i błocie, policzyć nie zdołałem.

Skończyła się dla mnie wojna, lecz rozpoczęła się niewola, niewola może gorsza od wojny.

### **Okres niewoli rosyjskiej**

Po przebyciu błotnistej drogi, doszliśmy do oddziału znajdującego się o dwie godziny drogi. Tutaj okrzykami powitano wyprawę wracającą ze zdobyczą: jednym jeńcem, kilkunastu karabinami i naładowanymi tornistrami, z których już resztę lepszych rzeczy powybiali żołnierze dla siebie.

Mnie pozostawiono wszystko oprócz karabinu. Potem zapytali czy chce mi się „kuszać” (jeść). Dali mi herbaty, „zachru” (cukru) i chleba – mogłem jeść. Prawdziwie od kilku miesięcy tak się nie pożywiłem, najadłem się do syta. Wypytywali mnie żołnierze polscy, a tłumaczyli moskalom. Polubili mnie i na noclegu spałem tej nocy razem z nimi; z wroga stałem się przyjacielem.

Na drugi dzień rano znów się najadłem do syta, gdyż pożywienia mieli pod dostatkiem. Przyszedł rozkaz, aby mnie odstawić do sztabu danego oddziału. Zajechał jeden Kozak konno, pożegnałem oddział i ruszyłem w drogę. Bliżko trzy godziny byłem w sztabie przesłuchiwany. Jakiś sekretarz tego sztabu

Kozaków, a z wyglądu Żyd, zadawał pytania po niemiecku: „po co szedłem do niewoli”, wymyślał mi, sugerował różne rzeczy: „że żołnierz niemiecki nie powinien dać się brać w niewolę” itd. itp.

Następnie przyszedł adiutant, wysoki młody oficer, Polak, i pyta się: „kim jestem, Polakiem czy Niemcem?” Odpowiadam, że Polak. Pyta: „z jakich stron?” Odpowiadam, że „z Poznańskiego”. Pyta, czy znam Piotrowo, czy Oporowo, nie zrozumiałem i nie znałem tej miejscowości. Zaznacza dalej, że ma żonę w tej miejscowości, że nie może dowiedzieć się o żonie, czy zdrowa i żyje, bo na krótko przed wojną wyjechał do Królestwa w swoje dobra i wojna rozdzieliła go z żoną, że będąc oficerem Armii Rosyjskiej, musi pozostać w czynnej służbie. Dalej mówi, że nie mam się bać, że już mi się nic nie stanie, będę przesłuchany przez szefa sztabu, czyli atamana Kozaków. Ośmielony tym i widząc zaufanie opowiadam, jak bardzo szorstko i z wyrzutami, że dałem się wziąć do niewoli jako żołnierz niemiecki, potraktował mnie tamten sekretarz. Adiutant oburzył się mocno i wzywa owego żołnierza – sekretarza, ten prostuje się przed nim i tłumaczy w języku rosyjskim, którego dobrze nie rozumiałem, tylko pamiętam słowa „swołocz” i „czort”, zwymyślał go i kazał wynosić się. Następnie obrócił się do mnie i powiedział, że takich zdrajców pełno mają za co jutro pójdzie na linię bojów. Potem kazał mi usiąść na ławie i poczekać aż przyjdzie szef.

Długo czekałem, aż wreszcie nadszedł ów szef; był to typ Rosjanina z brodą, niski, po cywilnemu ubrany, w czapce i ze szpicrutą w rękę, człowiek o pogodnej twarzy i nawet przyjemny. Zadawał pytania po rosyjsku, adiutant tłumaczył, a ja odpowiadałem. Interesowało go jakie jest odżywienie, zaprowiantowanie i jakie nastroje wśród żołnierzy, a potem wypytywał o rozmieszczenie artylerii, jaka jest siła wojska i co wiem o stosunkach wewnątrz Niemiec. Rozmawiał długo z adiutantem, a następnie rozkazał zaopatrzyć w żywność i odesłać mnie do Dyneburga. Otrzymałem kawał czarnego chleba, 15 kawałków cukru i szczyptę herbaty, a potem kazał wyjść i poczekać, aż przyjdzie konwój. Pożegnałem się i wyszedłem.

Wnet też zjawił się żołnierz konno i poszliśmy w stronę kolei; stawaliśmy po drodze w kilku wioskach gdzie mogłem sobie coś kupić, czy papierosa czy coś do zjedzenia. Doszliśmy pod wieczór do Krenzburga, tam podziękowałem mu za zamianę kilku marek na ruble i pożegnałem, bo żołnierz musiał jechać z powrotem. Znać było na dworcu duże podniecenie, pełno „ubieżeńców” i rodzin z dziećmi. Ja pojechałem tym pociągiem na Dyneburg, omawiając z Polakami w pociągu różne przejścia. Namawiano mnie abym zrzucił mundur, a dadzą mi cywilne ubranie i pojedę z nimi w daleki świat Rosji, lecz nie znając języka dostatecznie, obawiałem się. Wiozłem też dokumenty, które wręczył mi konwój i miałem oddać w Dyneburgu temu, który będzie odbierał mnie z pociągu.

Chyba o drugiej w nocy dojechalśmy do Dyneburga, tam też zjawił się urzędnik, odebrał dokumenty i razem z innymi odesłano nas wszystkich do ogromnego, opróżnionego magazynu; tam nastąpiła rejestracja, wzięto cywilnych osobno i wojennych osobno; dopiero tam okazało się, jaka wielka ilość jeńców nagromadziła się. Tylko z 18-go pułku było około tysiąca jeńców. Dwa dni oczekiwaliśmy na transport odpoczywając po przemęczeniu. Tam też były ogromne ataki niemieckie, bo przez całą noc i dzień było bezustanne bombardowanie, że obawiałem się, iż z powrotem zabiorą nas Niemcy, lecz ataki odparto i po dwóch dniach wywieziono nas w stronę Błogoje.

Kiedy tak jechaliśmy pociągiem Niemcy podziwiali zapasy żywności jakie wszędzie jeszcze było widać. Za kilka kopiejek robili dobre zakupy. W Błogoje kupiłem bochenek chleba białego jak śnieg za 2 ruble, że nasyciły się 24 osoby, jeden cały wagon, a bochen chleba tak duży, że dwóch niosło go na ramionach do wagonu; inni kupili pieczoną kurę za 20 kopiejek, paczkę marchorki za 8 kopiejek, dzban mleka za 40 kopiejek itd., a cóż dopiero mówić o zapasach żołnierskich na tyłach armii. W niemieckich oddziałach mówiło się, że w Rosji głód i wojska już nie ma – teraz dopiero to wszystko, co widzieli wprowadziło „hakatów” w taki podziw i zachwyt, że niejeden powiedział, że Rosja jest nie do pobicia.

Jechaliśmy w stronę Moskwy, a wszędzie zapal do walki i pogroźki Niemcom. Po kilkutygodniowej podróży stanęliśmy przed Moskwą. Wjazdu do Moskwy nie było z powodu eksplozji magazynu pocisków artyleryjskich, praca nad rozszalałym żywiołem i ogromnymi zapasami amunicji, z powodu ciągłych wybuchów, była ogromnie utrudniona, gdyż bliski dostęp był niemożliwy. Przyglądaliśmy się tym wybuchom i rozrzucanemu dookoła żelastwu z odległości półtora kilometra. Po dwóch dobach straże unieszkodliwiły dalsze rozniecanie się pożaru i wjechaliśmy do Moskwy.

Stolica Rosji nie zrobiła na nas osobliwego wrażenia, gdyż po wcześniejszym oglądaniu miast zachodnich, zdawała się być niedorównaną wielkim miastom Zachodniej Europy; była jedynie porównywalna z wielkiej rozległości terenu. Ruch był ogromny – zaś ilość i różnorodność wojsk zrobiła na nas doskonałe wrażenie. Osobliwie Kozacy i konnica przejeżdżająca na swych wspaniałych koniach, świetnie się prezentowała. Sprężystość jazdy i dobra postawa jazdy wyróżniała przecięź kawalerię zachodu.

Wszyscy jeńcy do Moskwy jechali razem. Kiedy w Moskwie w miejscu koncentracji zaczęli rozdzielać Polaków od Niemców, to wtedy w niejednym Niemcu zapanowała trwoga czy nie wyślą ich na Sybir? Wówczas dopiero okazywało się jakich prawdziwych Niemców miała armia niemiecka; nie mogli wyjść ze zdziwienia gdy pytano o nazwiska, bo słyszałem same Fiszery, Lupki, Kamiency, Wienclandy, każdy tłumaczył się tym, że jego babka była Polką. Jeszcze więcej mnie zdziwiło, gdy po kilkudniowym pobycie doskonale mówili po polsku, gdzie przy podawaniu nazwiska, wszystko li tylko po niemiecku. Po dokładnym wybadaniu sprawy doszedłem do przekonania, że byli to Polacy z Pomorza, z Wejherowa i okolic, oraz spod Kołobrzegu i Szczecina. Po kilku tygodniach nie do rozpoznania mówili już płynnie po polsku i śpiewali z nami polskie piosenki. Po segregacji w Moskwie, Niemcy zostali wywiezieni na Sybir. Polaków wysyłano do różnych obozów w centrum Rosji; partię około dwustu Polaków skierowano w stronę północną na Katazin.

Przyjechawszy na stację Kasza, ruszamy pieszo 21 km do Katazina nad Wołgą. Po przeprawie przez Wołgę, stajemy po drugiej stronie, już na miejscu dla nas przeznaczonym. Było duże zainteresowanie „Germanami”, bo tak przedstawiał nas mundur niemiecki; z tego dużego zainteresowania się „Germanami” o strasznie zbiedzonym wyglądzie, litościwe społeczeństwo obdarowało nas białym chlebem; zauważyłem starą „babuszkę”, która za ostatnie 20 kopiejek kupiła kołacz, rozłamując go podzieliła dla trzech jeńców zaznaczając ze łzami w oczach, że i ona ma syna „w plenu w Germanii”. Po bliższym porozumieniu się, żeśmy nie „Germany”, lecz Polacy, ujawniło się zrozumienie: „Germański, Polak,

Poznań” – coś niecoś zrozumiano, z pożegnaniem odeszliśmy w stronę opustoszałych baraków, które zajęliśmy jako obóz jeńców wojennych.

Jakiś komendant objął nas i zaraz rozkazał, aby iść po „kipiotok” i chleb, ponieważ była to pora wieczorna i zimno doskwierało, każdy rad podążył, aby się rozgrzać; dano wrzątku i po 3 funty chleba dziennie. Sądziliśmy, że nastąpi lepsze odżywienie, jednak było to złudzenie. Rano i wieczór wrzątek, lecz na obiad to pomyje od umytych naczyń kuchennych. Kto pierwszy był, dostał coś lepszego, lecz ostatni dostawali tylko wodę. Jedynie te 3 funty chleba nas podtrzymywały. Żywność, która była dla nas przeznaczona, zabierali oprawcy dla siebie, uzalić się nie było komu, a ostatecznie była to zima, mrozy i śniegi, miesiące grudzień i styczeń 1916-go roku. Po umyciu się i uporządkowaniu z robactwa, którego było wszędzie pełno, odżyliśmy nieco, lecz ta kąpiel przy 30-tu stopniach mrozu w zimnej łaźni, otrzeźwiła wszystkich.

Dnie szybko mijały, to też już 6-go lutego 1916 roku, wysłano całą partię jeńców na roboty leśne. Te cztery tygodnie tak nas zbiedziły, że z ledwością dotarliśmy pieszo do kolei, owe 21 wiorst do Kaszy. Potem dojechaliśmy koleją na stację Mała Wyszera, w guberni Nowogrodzkiej. Stąd pieszo 8 wiorst, do posiadłości Aleksiejewka. Jak mi mówiono, były to dobra generała Kozłowa.

Gruntu było mało lecz lasu ogrom. Przyjęcie było doskonałe przez zarządzającego, czyli plenipotentą. Chleba pod dostatkiem, herbaty, cukru, dobrej zupy, no i o godzinie dziesiątej spać. Dwa dni mieliśmy wolne dla odpoczynku, a od poniedziałku rozpoczęła się praca. Każdy otrzymał walonki (filcowe buty), watowaną kurtkę, dobrą czapkę, rękawice skórzane, piłę, topór i kilof. Do wyrębu lasu wyruszyło 90 par drwali, zaś około 20-tu ludzi było zatrudnionych do odwożenia drewna do kolei i do domowych robót jak kucharze, kowal i stelmach, który naprawiał narzędzia itd. Niełatwa to praca, już nie grzmot armat, lecz grzmot obalanych drzew nam towarzyszył. Odżyliśmy i nabraliśmy siły, bo odżywienie było doskonałe: chleba 3-4 funty, herbaty i 6 kostek cukru dziennie, obiady dość tłuste i dobre. Robota szła, ale ciągle jej dokładano; z początku jeden sąg, zaś półtora i w końcu dwa i pół sąga dziennie wymagano.

Dziwiły niejednego jeszcze na froncie, pozostawiane po wyrębie wysokie pnie, co u nas nieznanne, lecz z powodu wielkich śniegów musiano w taki sposób ciąć poręby lasów. Śniegi były na półtora metra, choć się dużo odkopało, to jeszcze na metr od ziemi, a czasem niżej ścinało się drzewa; reszta co pozostała, ukazywała się po zniknięciu śniegu.

Drzewo było szykowane do opału parowozów, to jest arszyn, długie 80 cm, zaś bardzo grube, połupane. Sąg oznaczał 2 metry kubiczne, a trzeba było wykonać 5 metrów kubicznych dziennie, w przeciwnym razie ściągano się wyzwicka, szturchańce, a ostatecznie karę głodową i na noc do bani. Wiele nie było takich wypadków, ale były, a były z powodu choroby, albo zemsty naszych kontrolerów oraz „liziałapów” (pochlebców, lizusów) i zdrajców, których jak wszędzie zawsze się znalazło – byli i u nas.

Muszę zaznaczyć, że jak tłumaczem był niejaki Zoroch ze Wschodnich Prus, a Kasperek ze Śląska jako rodzaj włodarza, to oni stołowali się przy kuchni „uprawlewszego”, a nie wśród nas. Był to typ nędznych kreatur, którzy płaśczyli się by tylko zyskać coś dla siebie, lecz o całość swych braci nie dbali, stąd też powstał odruch niezgody.

Pomagano sobie w niewykonywaniu wymaganej pracy w ten sposób, że przenoszono już odebrane prace i ustawiano je wśród pracy nowej, dopiero do odbioru; robota szła rażno, to też wnet tam gdzie były stuletnie i starsze drzewa pozostały, jak okiem sięgnąć, tylko sągi. Od domostwa do granicy wyrębu, trzeba było dobre półtorej godziny iść tak wszerek jak i wzdłuż.

Święta katolickie i prawosławne święciliśmy, lecz do miasta nas nie wypuszczano przez cały 1916-ty rok i do rewolucji 1917-go roku. Kościół był nam nieznany, aż od lutego 1917-go roku dopiero, mieliśmy wolność i swobodę.

Zaszły pewne incydenty jeszcze przed rewolucją. Kozak nas dozorujący, skatował kilka osób, lecz można było mieć pretensje do naszych oprawców, którzy zamiast łagodzić niektóre sprawy, to zaogniali je i siali niezgodę.

Chciałbym zaznaczyć, że wśród nas Polaków było około 80-ciu Czechów, na których mogliśmy się wzorowo budować; ich takt i spoistość była naprawdę wzorowa, weseli, muzycykalni, z humorem. Mieli też swego przewodnika w osobie Franciszka, który pracował na równi ze swymi nie chcąc być naganiaczem, cośmy zawsze wytykali Kasperkowi i Zorochowi. Jednak nadzorcy obawiali się Czechom coś powiedzieć, stąd można było wyczuć sentyment do Czechów, a oni o swoje się dopominali czepiając się nawet strajku i głodówki. Kasperek zaś, wychowywał swych dwóch synów dla Wilhelma, a Zoroch, to „germaniec” i rusofil skończony.

Było dużo Polaków, którzy nie wierzyli w zmartwychwstanie Polski. Podkreślałem stale, że Polska będzie, że należy nam się gotować do tej przyszłej Polski i wyrabiałem sobie miłość i poważanie w otoczeniu. Nie mogąc otrzymać gazety polskiej z Moskwy, wyuczyłem się sylabizować prasę rosyjską, ale i tej nam nie dopuszczano, lecz wiedzieliśmy o sentymencie Państw Centralnych i Koalicji.

Muszę zaznaczyć, że z wybuchem rewolucji rosyjskiej ustał dozór i nastąpiła wolność, pozabierano tych trutni, co przez całą wojnę dusili się po kątach, lecz za to nastąpił czas głodu i brak żywności. Z gazety polskiej dowiadujemy się o zamknięciu drzwi dla Beselera przez Arcybiskupa Kakowskiego, wiele o Radzie Regencyjnej, o Zachodzie, o werbunku żołnierzy w Królestwie przez Niemców i o ubolewaniu przez „dziadzię” Józefa Piłsudskiego.

Żebym był wiedział, że tak się stanie, nie byłbym tego zrobił, to jest nie walczyłem z legionami przeciw Rosji. Muszę zaznaczyć, że bardzo wielu legionistów spotykałem z Legionu Piłsudskiego, którzy żalili się bardzo na traktowanie ich przez Moskali, bo też strasznie traktowano tych młodych chłopców po wzięciu do niewoli: zrywano im orzełki z maciejówek, bito, głodzono i maltretowano w różny sposób, natomiast Czesi przechodzili z całymi pułkami, z orkiestrą i ze swymi generałami witani owacyjnie przez ludność rosyjską.

Po wybuchu rewolucji nastąpił czas ogromnej udręki, żywności nie było za żadną cenę, zaś o ubraniu i bieliznie można było tylko marzyć – wszystkie starania spełzały na niczym. Wiele pociechy duchowej i fizycznej otrzymaliśmy od nigdy niezapomnianego apostoła, śp. biskupa Cieplaka i jego kapłanów niosących pomoc moralną i charytatywną.

Założono na Małej Wyszerce kapliczkę, gdzie co niedzielę i w święto szliśmy na mszę św. Otrzymaliśmy całe ubrania i żywność jaka była możliwa. Kiedy to raz zaprosiłem kapłanów, aby nas odwiedzili na miejscu, w obozie,

to kapłan będący wysłannikiem ks. biskupa Cieplaka nieomal się popłakał nad nami, nad losem naszym, a „uprawlawszemu” zrobił wyrzuty, że traktuje nas jak zwierzęta nie ludzi, więc potem nastąpiła zmiana we wszystkim na lepsze, publiczność polska, która znajdowała się tam, ratowała jak mogła wzajemnie na wszystkie sposoby.

Było to około lipca roku 1917-go, rozesłano połowę ludzi do robót leśnych w okolice bliskie z Gubernią Archangielską. Stamtąd otrzymałem jeszcze kilka kart od kolegów. Opisywali m.in., że kiedy tam przybyli, to bardzo ich zdziwiły dzikie indyki w lasach, gdzie po podcięciu jednej sosny puszczała drugą na nią tak, że zabijali w ten sposób to ptactwo, czym sobie pomagali w odżywianiu się i wiele różnych rzeczy. Zoroch i Kasperek, którzy też tam pojechali, dalej okrutnie gnębili i pomiatali Polakami, że w końcu odesłano ich do obozu koncentracyjnego do Kostromia na zagłodzenie. Jednak wielu puciekowało i właśnie owego Zorocha po ucieczce spotkałem potem na Wyszerce bo powrócił, to na kolanach prosił aby mu przebaczyć maltretowanie nas. Poradziłem mu, aby co prędzej się znosił, bo będzie z nim źle, co też uczynił.

### Ucieczka z Aleksiejewki

Tak strasznie biedowaliśmy w Aleksiejewce jeszcze do stycznia 1918 roku, lecz widząc co dzieje się dookoła i na co się zanosi, postanowiłem uciec z tej miejscowości. Nie namawiałem nikogo, lecz rano o godzinie czwartej wstałem, zabrałem me rzeczy i rzekłem: kto chce może ze mną iść. I wybrało się ze mną kilku na przygotowaną wcześniej placówkę, a byli to: Żmura, Rekowski, Podwojski i ja. Zaraz też otrzymaliśmy pracę na kolei, za pośrednictwem pana (L...go), lecz nie na długo, bo były awantury rewolucyjne, zaś opuszczanie frontu przez Moskali było strasznie niebezpieczne i groźne.

Całe 2 tygodnie jechała rozpuszczona armia rosyjska z odcinka Mińska, Pskowa i Piotrogradu. Żołnierze wieźli jeszcze odezwy niemieckie, które im rozrzucili Niemcy. Napisane było, że: wy walczyście na frontach, a na tyłach rozdaje się ziemię i kto wróci za późno, temu się nic nie dostanie. To tak poskutkowało, że wszyscy żołnierze porzucili broń sprzedając ją za bezcen, a jechali jak szaleni zapominając, że siedzą na dachach wagonów, skąd zmiotani na mostach i w tunelach ginęli śmiercią niespodziewanego niebezpieczeństwa. Rozpanoszenie się pijaństwa, grabieży i morderstw było na porządku dziennym, a o ukróceniu swawoli nie było mowy. Rewolucja rozpanoszyła się na dobre. Kiereński jako socjalista, który ją przygotował - po przyjeździe do Piotrogradu Lenina, a przysłanym przez Niemców w zaplombowanym wagonie - zaczął działać kontra i stało się to czego Niemcy chcieli, dopięty celu. Kiereński zmuszony do ucieczki, po stoczeniu ostatnich bojów między Piotrogiem, a Moskwą przepadł, a wojska rozpiechły się na wielkich terenach Rosji i znikły. Zaś Lenin i jego przyjaciel Trocki już bez przeszkód kontynuowali dzieło Niemiec, przygotowane jako rewanż za przegraną wojnę światową, ażeby przy pomocy Słowian rozniecić nowy pożar w Europie.

Jednakowoż należy tu uwzględnić potężny obszar Rosji. Komuniści mieli zamiar zdobyć i zawładnąć przede wszystkim koleją, telegrafem i pocztą. Niełatwa to była rzecz na rozległym terenie Rosji i Syberii, a w dodatku znaleź-

li się obrońcy dawnej Rosji: Siemionow, Dutow i Kołczak w Syberii, a Denikin, Judewicz i inni na południu i Kaukazie.

Widząc na co się zanosi, miałem zamiar wstąpić do Korpusu gen. Dowbora Muśnickiego, lecz z powodu zagrodzenia dostępu do kadry Korpusu, zmuszony byłem do szukania innej drogi. Nie tracąc czasu jechałem z kolegami Rekowskim, Podwojskim, Kaszyckim i wielu innymi na Syberię. Straszny głód, który panował w Rosji skończył się, gdyż w Syberii żywności było pod dostatkiem. Powolna jazda trwała kilkanaście dni, a nadzwyczajne trudności sprawiali maszyniści kolejowi, którzy nie chcieli jechać na Syberię obawiając się niemożności powrotu do rodzin w Rosji. Zmieniano ich ostatecznie w Ufie. Zaś od Czelabińska rozpoczynało się zaprowiantowanie dworców Syberii – tam można było dostać wszystko.

W Czelabińsku właśnie natrafiliśmy na pierwszego emisariusza późniejszej Armii Polskiej na Syberii. Gdy dowiedzieliśmy się o formalnościach do spełnienia, jechaliśmy już wprost do Omska. Tu całą grupą tak jak jechaliśmy, zeszliliśmy z pociągu i udaliśmy się od razu na przeznaczone miejsce. Inni, którzy nie chcieli wstąpić do Polskiej Armii pojechali do obozu jeńców w Nononikołajewsku.

W Omsku, na czele Komitetu Organizacyjnego stali Sokołowski, Zaremba i kilku pomocników, zaś na czele Legionu Omskiego stał Porucznik Jaworski i Polak z Litwy Żawryt; uzbrojonych było 200-tu żołnierzy z różnych stron, osobliwie jeńcy wojenni i zesłańcy na Sybir z katorg. Formacja była przy 37-mym Pułku Piechoty Armii Rosyjskiej już zdemobilizowanym przez rewolucję. Omsk miał wówczas około pół miliona mieszkańców, przeważnie Polaków i Rosjan. Opanowany był natenczas przez socjalistów o pokroju Kiereńskiego. Władza zwierzchnia aż do Władywostoku, była już Lenina i Trockiego. W Legionie Omskim pełniliśmy straż wartowniczą, gdyż obywatele Omska mieli do nas największe zaufanie. Warty utrzymywaliśmy przy intendenturach, prochowniach, banku, poczcie; trudne to było zadanie, bo z jednej warty na drugą trzeba było iść, ale żywność była doskonała, ubranie dobre i przełożeni doświadczeni wojną i wyrozumieli. Wnet też Kolonia Omska ofiarowała nam sztandar i odbyło się jego poświęcenie. Odtąd rozpoczęło się prześladowanie przez socjalistów polskich, na czele których stał Stanisław Wojciechowski. Ciągłe nam zarzucano, że stoimy do dyspozycji „białej gwardii” i tak kopano, aż ostatecznie ów Wojciechowski dopiął swego celu 7-go kwietnia 1918 roku. Nie chcąc przelewu bratniej krwi oddaliśmy dobrowolnie broń i nasycił się socjalista Wojciechowski; lecz że sztandaru nie oddaliśmy, było im tego za mało, nuże i po sztandar ruszyli. Nie dostali go jednak, gdyż ów porucznik Żawryt rozebrał go i ukrył, za co był ścigany, ale wkrótce wyjechał do Archangielska i prawdopodobnie do Francji.

Zagwarantowane mieliśmy miejsce do spania i żywność do końca kwietnia, zaś 5-go maja 1918r. była powołana do życia „Prodowolstwienna Milicja”. Muszę zaznaczyć, że walka uliczna która odbywała się w Omsku, też była zażarta, a było kilka zwycięstw jednych i drugich. Partia narodowców straciła jednego członka przy moście Omki, która jest dopływem Irtyszu, wystawiono mu pomnik, lecz po następnej bitwie zwyciężyli bolszewicy, znieśli ów pomnik i pochowali bohatera narodowców 30 metrów od ulicy, zaś na to miejsce skła-

dali swego bohatera i tak trwało 3-4 razy. O potworności zbrodni bolszewickich niech świadczy taki fakt, że gdy schwytali szpiega kontra bolszewickiego, za karę pochowali go żywcem przy wejściu na cmentarz, razem z jego kochanką, która nie chciała go opuścić. Grób ten znajduje się przed cmentarzem Omskiem ze strony północnej, gdzie leżą też pochowani rewolucjoniści z roku 1905-go, za rewolucję w Kongresówce.

Ludność Syberii nie mogła znieść rządów Lenina i Trockiego i przypuszczano, że wnet coś wybuchnie i tak też się stało. Oto na skutek porozumienia pana Sokołowskiego i innych obywateli, została utworzona milicja, która miała czuwać nad wywożeniem produkcji spożywczej ze Syberii, wtedy wszyscy legionści zostali wcieleni do tejże; granice były rozległe, od Uralu do Bajkału i na najdalszych przystaniach dróg wodnych.

Rozproszenie nas było bardzo duże, ale zapewnienie bytu było jedynym dobrem, gdyż termin przewrotu był krótki 5-ty maj, a początek czerwca, to też niejedni nawet nie dojechawszy na miejsce przeznaczenia, zawracali z drogi z powrotem.

Przypadła mi i kuzynowi, którego spotkałem w Omsku, służba wartownicza transportu z Omska do stacji Czującym, w odległości ok. 200-250 km; lecz aby stamtąd powrócić, trzeba było odczekać 2 tygodnie. Szmugiel towarami szedł ogromny, wywożono całe wagony masła, sera, wędlin, ryb suszonych. Wkrótce to ustało, gdyż wszystko zostało konfiskowane, a bolszewicy zaczęli obrastać tłuszczem, lecz na krótko.

Rozmawiałem wtedy z jednym Czechem, Franciszkiem, który mi napomknął, że wkrótce coś się wydarzy; ja ze strażą naszą oddaliśmy broń Czechom na stacji Czującym. Byliśmy swobodni, bo skończyła się nasza służba, lecz powrotu do Omska nie można było podjąć, gdyż silniejsze miejsca bolszewickie stawiały opór jeszcze kilka dni.

W tym miejscu muszę zaznaczyć, że Czesi nie mieli broni pod dostatkiem, a zdobywali ją łopatkami, toporami, bombami itp. Tu można sobie wyobrazić rozmach i spoistość Armii Czeskiej. Że cała sprawa była dobrze obmyślana i dobrze ujęta świadczy to, że po kilku dniach bitwy, Czesi opanowali linię kolejową na olbrzymiej przestrzeni i nie spoczęli tak długo, aż został oczyszczony z bolszewików cały teren ich posiadania.

Armia Czeska, która to niby w zamiarze przejazdu do Władywostoku, a stamtąd do Francji, stanęła na torach od Samary do Władywostoku, a była to siła żołnierzy w ilości 80 tysięcy, bez broni wprawdzie, bo bolszewicy zażądali zdania broni, lecz na każdy eszelon pozostawało dużo broni ukrytej lub legalnie zostawionej dla obrony; ta rozlokowana Armia Czeska zrobiła przy pomocy Rosjan, Polaków i Serbów wyłom, który udał się tak znakomicie, że jednego dnia, hurmem, zabrano tę całą linię od Władywostoku aż po Samarę i Kazań - zdobyto całą transsyberyjską linię kolejową, a to było najważniejsze. Miało to miejsce coś około 10-go czerwca 1918 roku.

Wiele epizodów mógłbym przytoczyć, lecz o sprycie Czechów niech świadczy choćby to, jak łapano całe pociągi bolszewików na stacji w Omsku; pozapychano wagonami wszystkie tory, zaś jeden pozostawiono wolny dla przejazdu, a oba boczne tory zostały obsadzone przez żołnierzy Czeskich zamkniętych w wagonach pozorując, że Czesi się wycofali z Omska. W ślad za nimi postępują bolszewicy, wjechało kilka pociągów, a tu Czesi wypadają



z wagonów, wybijają ich i zdobywają broń i pociągi. Reszta bolszewików, która chciała się cofnąć przez most zatłoczyła go tak, że w panice wielka część utonęła w Irtyszu, resztę wybito. Obsadzenie Omska było dobrze ukartowane przez Czechów. Czechów witano wszędzie jak zwycięzców, kwiatami obsypywano i wszystko było dla nich. Bili się dzielnie, lecz topnieli, bo z 80-ciu tysięcy zrobiło się w końcu 40 tysięcy, ale wypędzili bolszewików z Syberii poza Ural, aż za Samarę. Zdeprawowana armia bolszewicka nie była zdolna do walki i tam zatrzymała się przez kilka tygodni.

### **Wstąpienie do V-tej Dywizji Strzelców Polskich na Syberii**

Dnia 18-go czerwca 1918 r. przybyłem do Omska, zapisany zostałem jako 18-ty żołnierz ochotniczy. Kolegów moich także tam spotkałem. Kuzyn mój już nie chciał wstąpić do wojska i to mnie trochę wstrzymało w decyzji gdyż chciałem, abyśmy wstąpili razem. Rozpoczęła się organizacja 5-tej Dywizji Syberyjskiej, Hallerowskiej. 1-szy Pułk Strzelców im. Tadeusza Kościuszki organizował podpułkownik Krupski, 1-szy Pułk Ułanów Syberyjskich por. Olechowicz i Grinn (Grenon?), a po paru dniach przybył płk Konrad Piekarski i wtedy organizacja V-tej Dywizji ruszyła na dobre. Ja wstąpiłem do 1-go Szwadronu Ułanów. Już po 4-5-ciu tygodniach wyjechaliśmy jako pierwsze kadry bliżej frontu, a bojowe na front. I tak: 1-szy i 2-gi Batalion Strzelców odjechały na front dla pomocy Czechom na Jekaterynburg, a 1-szy Szwadron Ułanów i reszta do Ufy.

Jekaterynburg był miejscem więzienia cara Mikołaja II. Na skutek spiesznego uderzenia polskich i czeskich żołnierzy, bolszewicy nie byli w stanie się obronić, to też przy opuszczaniu Jekaterynburga kaci bolszewicy Wojków, Krylenko, Dzierżyński i inni, dali rozporządzenie wymordowania uwięzionej tam całej rodziny carskiej. Twierdzenia jakie obecnie panują uważam za bezpodstawne, gdyż rozmawiałem z różnymi żołnierzami, którzy byli w Jekaterynburgu i mówili, że tamtejsza ludność nawet wskazywała miejsce, kiedy bolszewicy po dokonaniu zbrodni chcieli wywieźć ciała, lecz na skutek osaczenia było to już niemożliwe, a wtedy oblali ciała płynem i spalili doszczętnie. Interwencja Czechów i Polaków była o 2-3 dni spóźniona, inaczej byłyby satrapy bolszewickie same nie uszły z życiem – takie są twierdzenia tych, z którymi osobiście rozmawiałem po pobicie bolszewików w Jekaterynburgu.

Kiedy dalszy werbunek do Armii Polskiej odbywał się w Ufie, to stamtąd wyszły już następne oddziały na front i tak 1-szy Szwadron Ułanów stale był w wywiadzie w stronę Orenburga, gdyż już w sierpniu 1918 roku, zaczęły się buntować wsie okoliczne przeciw tzw. „białej armii”. Po kilku tygodniach w Ufie wyjechaliśmy do Bugurusłana, tam nastąpiło wysłanie na front dalszych formacji, bo front był blisko.

Zbyt powolna pomoc czeska spowodowała rozrost i dyscyplinę armii bolszewickiej. Jeżeli tu nastąpiłoby przyspieszenie uderzenia, dałoby to możliwość przejścia przez Moskwę Armii Czeskiej i Polskiej, lecz brak dostatecznej orientacji z naszej strony spowodował później straszny cios, a losu, jaki nas spotkał, nawet psu nie można zgotować.

Tu w Bugurusłanie doszła nas wieść, iż wieś buntuje się na dobre, to też wysłana ekspedycja karna do owej Uzieli, spaliła całą wieś za zamordowanie

żołnierza Feliksa Woźniaka. Żołnierz ów zabłąkał się jako śmiałek i został zestrzelony z konia, a następnie poćwiartowany i wrzucony do strumyka. Za czyn ten spalono całą wieś mającą 54 domostwa; można było słyszeć rozpacz i skargi.

Na froncie bardzo wielu żołnierzy przechodziło na stronę bolszewików i tak raz pewnego przeszło 30-tu kawalerzystów z Mazowieckiego Pułku z całym umundurowaniem, lecz jak to bywa, odebrano potem konie dla oficerów, co spowodowało duży wybuch niezadowolenia w szwadronie, ale przybywające ciągle nowe siły niwelowały wszystkie ujemne strony, to też nasze zuchy rosły w dumę, bo gdzie pojawili się bolszewicy, to rozkurz; za to nazywani byli przez bolszewików „ptasiem odriadem”, bo przesuwanie na froncie było tak szybkie, że nie mogli sobie dać rady.

Wprawdzie później zastosowano pewne manipulacje bolszewickie, bo trzeba było wprowadzić w armii dyscyplinę i karność. Rozporządzeniem Lenina za grę w karty, upicie się i rabunek groziło rozstrzelanie każdego żołnierza. W ten sposób przeprowadzono reformę armii bolszewickiej. Czasu trwania tej reformy nie umiała wyzyskać armia syberyjska i to później zemściło się. Ta cała sprawa winna była iść forsownie by nie dać czasu na pobranie nowych sił i uzdrowienie żołnierza bolszewickiego, który wtedy był niezdolny do walki. Kiedy już bolszewicy dokonali tego „uzdrowienia armii” oddziały bolszewickie przeszły do ofensywy i zaczęły powoli, ale bez przerwy pchać wojsko czechosłowackie i „białych” spod Kazania i Samary na linię Ufa.

Tu przetrzymano zimę z 1918-go na 1919-ty rok, lecz nie pomogły już żadne próby, gdyż potężne połączenie zezwalają na okrążanie i zabieganie zupełnie na tyły.

Pierwsze walki były okropne. U Kołczaka jako ochotnicy była wybrana, inteligentna młodzież; walczyli jak najlepiej lecz stopnieli, gdyż przez agitację bolszewicką część żołnierzy przechodziła do innych formacji, gdzie ich zdradzano, a nawet z tyłu atakowano i wystrzelano, a całe kompanie i pułki zdawały się dobrowolnie bolszewikom. Spowodowało to wyłomy i nieufność innych wojsk do oddziałów Kołczakowskich.

Z Bugurusłana wyjechaliśmy do Nowonikołajewska, tam mieścił się nasz garnizon, a formacja szła dalej. Były też zmiany, bo szwadrony na zmiany wychodziły na front. Tu rozpoczęła się dopiero na dobre praca przez całą zimę, aż do wiosny; wprawdzie na froncie było zawsze jeszcze trochę Czechów i naszych żołnierzy lecz reszta została z wojskami Kołczaka. Czesi stopnieli, usunęli się uwożąc naprzód co mogli do Mandżurii, jednak jeszcze wiele czeskich pociągów zostało przed pociągami polskimi. Polacy trzymali ariergardę, co było szkodliwe i zgubne dla całości transportu, bo stracili zaufanie do swych sprzymierzeńców Czechów. Dalekie przestrzenie Syberii, umożliwiały i ułatwiały zabiegi okrążające oddziałom powstańczym Syberii, co bardzo utrudniało nam walkę. We wrześniu 1918 roku otrzymaliśmy, jako stały już garnizon wojsk polskich, Nowonikołajewsk, jest to centrum Syberii, stąd łatwo na wszystkie strony operować. Teraz nastąpiło forsowne organizowanie V-tej Dywizji Strzelców Polskich tzw. Hallerowskiej lub Syberyjskiej; skład oddziałów był następujący:

- ❖ I-szy Pułk Strzelców im. Tadeusza Kościuszki oraz pułki II-gi i III-ci pułk,
- ❖ Batalion Szturmowy czyli „Udarnyj”,
- ❖ Batalion Wojsk Inżynieryjnych
- ❖ Artyleria lekka i ciężka.

❖ Ułani: I-szy Pułk Ułanów walczący, dwa szwadrony od początku stale na froncie, na zmiany, po uzupełnieniu 3-ciego szwadronu oraz kompanii za frontowej tegoż oddziału Kawalerii.

Dywizja Syberyjska składała się z 15000 żołnierzy – wojska doborowego przeważnie z jeńców austriackich i pruskich oraz wielkiej liczby obywateli Królestwa, a osobliwie polskiej inteligencji i młodzieży z Dalekiego Wschodu.

Niejednen może by zapytał, co za cel miała owa armia tak daleko od Ojczyzny i czy ona chociaż częściowo mogła coś uczynić dla wskrzeszenia Polski – lecz dla lepszego uwypuklenia całej sprawy podam przy końcu opisu o jej działalności.

Wojska polskie walczyły z bolszewikami od Samary aż do Tajgi, a oprócz tych walk, uśmierzały bunt powstań odległe od traktu kolejowego do stu kilometrów i więcej. Walki z powstańcami w różnych odległościach od kolei były bardzo utrudnione, gdyż oddziały powstańcze operowały i blisko i daleko tak, że wszystko musiało być ubezpieczone od nagłych napadów; mniejsze oddziały psociły się przy wysadzaniu w powietrze małych mostów i niszczyły tory, gdy w dość odległych okolicach działała duża siła powstańcza. Oddziały band Krylenki, operowały w całej Syberii i na taki oddział natknęła się jedna z kompanii, 1-go Pułku Strzelców (kościuszkowców) tak, że musiała się okopać w czworobok i tak walcząc przez dwie doby położyła 600 ludzi przed okopami. Była to banda z fuzjami, pikami i toporami, lecz pod gradem kul karabinów maszynowych została zniszczona, a ostatecznie granaty ręczne uratowały kompanię. Nie szła tam wprawdzie jedna kompania lecz cały batalion, ale rozpostarty w wielkiej odległości tak, że jedni o drugich nie wiedzieli, dopiero odgłosy strzałów ich ściągały i wskazywały walkę, dlatego już po zwycięstwie obie kompanie zeszyły się razem do powrotu.

Wiele było takich wypraw skąd przywieziono zabitych tak Polaków jak i Czechów i Serbów, gdzie na cmentarzu w Nowonikołajewsku mają swój spoczynek, gdzie z wszelkimi honorami, na lawetach, odwożono bohaterów wśród dźwięków marszu Chopina na wieczny spoczynek.

Wyekwipowanie polskiego wojska przez Japonię było doskonałe. Jednego, czego brakowało tej dzielnej dywizji, to dobrego wodza. Był wprawdzie generał Żeligowski, lecz ten już wcześniej opuścił Syberię, bo w styczniu 1919 roku. Naczelnym dowódcą był płk Czuma, zaś wodzem frontu płk Rumsza, który uwijając się na swym pancernym pociągu, we wszystkich kierunkach, prażył bolszewików. Tu muszę zaznaczyć, że mieliśmy dwa takie pancerniki zbudowane przez Batalion Inżynieryjny, nazywały się „Kraków” i „Warszawa”. Tępiłono też agitatorów bolszewickich i nie szczędzono koni, rozstrzelowano bez pardonu tego kto był schwytyany, jednak to nie pomogło i wojska bolszewickie postępowały coraz dalej.

Był też przegląd wojska w lutym 1919-tym roku przez przedstawiciela amerykańskiego, który wpłynął dodatnio na opinię koalicji; ukazały się potem plakaty i orędzie marszałka Piłsudskiego, lecz o wodzu mowy nie było i każdy robił jak uważał, jeden Rumsza chciał bronić sytuację, natomiast Czuma, człowiek miękkiej ręki i charakteru, ustępował.

Planowano rozpoczęcie ewakuacji wojsk w sierpniu lub wrześniu, zaś przygotowania przeciągnęły się do grudnia 1919 roku; mówiono też o generale

Baranowskim, że jest wysłany z kraju, lecz tam nie przybył, a sytuacja stawała się coraz trudniejsza.

Ewakuacja Dywizji Syberyjskiej z Nowonikołajewska na Daleki Wschód rozpoczęła się dopiero 5-go grudnia 1919 roku. Przygotowanie ewakuacyjne było doskonałe, bo całe formacje były ruchome, w pociągach wszystko było zarządzane, a więc przygotowanie na przejazd do kraju na pół roku i wszelka żywność dla całej dywizji.

Jechała również cała masa cywilnych rodzin żołnierskich i oficerskich, co było kulą u nogi tej ewakuacji, lecz nie chciano zostawić owych rodzin na pastwę losu bolszewickiego, a trzeba było to uskutecznić wprawdzie osobną wysyłką na Daleki Wschód.

Pociągi były ruchome, każdy; miały swe kuchnie, sypialnie, piekarnie, zbrojownie i wszystko co było trzeba mieć dla walczącej armii. Szedł więc pociąg za pociągiem na przestrzeni 150km, jeden od drugiego oddalony o 200-500 metrów. Każdy pociąg składający się z 50-80 wagonów miał jedną lub dwie lokomotywy.

Lokomotywy były nie najgorsze, lecz wymagały częstego remontu, a więc gdzie była jedna to była dobra, lecz gdzie dwie to częsta była naprawa jednej lub drugiej. Największym nieszczęściem był brak węgla lub drzewa opałowego i wody, bo pompy na stacjach były zdewastowane. Te trudności opałowe i braki wody, choć były dużym ciężarem, były do pokonania, bo obfitość lasów pozwalała zdobyć opał, to też rąbano drzewo w lesie i znoszono do parowozów i wagonów, a obfitość śniegu pozwalała na dostarczanie wody. Więc jechaliśmy, lecz dokąd wiedział tylko Bóg. Zależało to od waleczności żołnierza, który zasłaniał tyły przed bolszewikami.

Jednak posuwanie się żółwim krokiem owe 150 km przestrzeni naszej ruchomej armii, nie dało się na długą metę utrzymać.